

Bartosz Kaczorowski: Wojna domowa 2.0? Hiszpania w obliczu separatyzmu katalońskiego

Podgrzewanie emocji, demonizowanie działania hiszpańskich instytucji i straszenie opinii publicznej powtórzeniem się scenariusza z lat 1936-1939 należą do instrumentów tych sił, które za swój cel obrały destabilizowanie państw Starego Kontynentu – pisze dr Bartosz Kaczorowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Votum separatum?

Twierdzenie, jakoby ostatnie wydarzenia w Katalonii były zapowiedzią kolejnej wojny domowej na Półwyspie Iberyjskim, nie jest nowe. Zarówno przed „referendum” z 1 października, jak i w pierwszych dniach bezpośrednio po nim w mediach pojawiały się opinie sugerujące, że rząd w Madrycie był gotowy do zdecydowanej interwencji, co miało skutkować zaostrzeniem konfliktu.

Hasła te były powtarzane zwłaszcza przez zwolenników separatyzmu żywo zainteresowanych nagłośnieniem sprawy katalońskiej na arenie międzynarodowej. Co charakterystyczne, pojawiały się one nawet wtedy, gdy działania rządu Mariano Rajoya były jeszcze bardzo ograniczone. Atmosferę napięcia podsycali także media związane z Moskwą – jak Russia Today czy Sputnik – której separatyzm kataloński dawał dogodną okazję do podważania stabilności państw i organizacji międzynarodowych jak Unia Europejska czy NATO, a także do przyzwyczajania opinii publicznej do postulatów zmiany granic w Europie. Już 10 września twórca Wikileaks, Julian Assange, zamieścił na

Twitterze wpis, w którym przestrzegał, iż rząd Rajoya może posunąć się do rozwiązań siłowych rodem z Tiananmen z 1989 r. Na prorosyjskich kontach zanotowano także znaczny wzrost popularności słów „Franco” i „frankizm”, co miało obudzić resentymy z czasów wojny domowej i przedstawić władze w Madrycie jako zmierzające w kierunku autorytaryzmu. Innym przykładem strategii podgrzewania emocji była reakcja na wydarzenia z 20 września 2017 r., gdy hiszpańska policja przeprowadziła przeszukania w gabinetach polityków Generalitat, a rząd Rajoya przejął kontrolę nad budżetem. Wówczas świat obieżyła zupełnie nieprawdziwa informacja, jakoby autonomia Katalonii została zawieszona. W Polsce tę wiadomość podał m.in. poczytny portal wp.pl i krytyczny wobec UE „Najwyższy Czas!”.

Skojarzenia z kolejną wojną domową budziły także wydarzenia z 1 października, gdy hiszpańska policja podjęła operację mającą na celu uniemożliwienie przeprowadzenia „referendum”. Sceny policyjnych ataków na lokale wyborcze obieżyły niemal wszystkie światowe media, dając podstawy do oskarżania rządu w Madrycie o wyjątkową brutalność. Katastrofa wizerunkowa władz stała się faktem, nawet jeśli wkrótce okazało się, że wiele z tych obrazów pochodziło z manifestacji wcześniejszych o kilka lat albo też z zupełnie innych części świata. Również podawana przez media liczba 893 rannych została dość szybko zweryfikowana, gdy okazało się, że w szpitalu znalazły się ledwie cztery osoby.

Środki masowego przekazu epatowały porównaniami do wojny domowej, służąc tym samym sprawie separatystów i ją umiędzynaradawiając. W krzykliwych hasłach brylowały oczywiście rosyjskie tuby propagandowe, ale podobną drogę obrały również niektóre polskie serwisy informacyjne. Tytuły artykułów mówią same

za siebie: „Hiszpańska wojna domowa! Świat w szoku po krwawej akcji policji w Katalonii” (se.pl), „To już prawdziwa wojna domowa! Ponad 500 rannych w Katalonii”(pikio.pl), „Wybuchnie wojna domowa? Katalońska policja postawiła się brutalnym glinom z Madrytu. Także strażacy bronią bitych ludzi” (nczas.com)

Jakkolwiek pod względem strat ludzkich czy dynamiki wydarzeń obecnego kryzysu w Katalonii nijak nie da się porównać z wojną domową lat trzydziestych, to jednak jest jeden aspekt, który czyni go bardziej niebezpiecznym od krwawych doświadczeń z przeszłości. W przeciwieństwie bowiem do wydarzeń z lat 1936-1939, annus horribilis 1898, XIX-wiecznych pronunciamientos i wojen karlistowskich, czy też „guerra de independencia”, jak Hiszpanie nazywają wojnę z napoleońską Francją, tym razem na szali została postawiona wartość dotychczas uznawana za oczywistą i nienegocjowalną: jedność państwa. Z tego powodu w polityce ogólnokrajowej możemy obserwować wyraźne zacieranie się podziałów z czasów wojny domowej. Te nowe, tworzące się w odniesieniu do kwestii katalońskiej idą zaś w poprzek podziałów partyjnych.

Środki masowego przekazu epatowały porównaniami do wojny domowej, służąc tym samym sprawie separatystów i ją umiędzynaradawiając.

Choć panuje powszechne przekonanie – wzmacniane przez obóz separatystów – że Partia Ludowa (Partido Popular, PP) Mariano Rajoya jako

bezpośrednia sukcesorka obozu postfrankistowskiego jest zwolenniczką zdecydowanej rozprawy z katalońską irredentą, w

rzeczywistości prezentuje ona stanowisko dość umiarkowane. Rząd Rajoya właściwie od swej pierwszej kadencji reagował w ograniczonym stopniu na deklaracje Generalitat co do konieczności usamodzielnienia się. Nie przeprowadził poważniejszej kontrakcji po pierwszym „referendum” z 2014 r. – wtedy nazwanym jeszcze przez samych organizatorów „konsultacją” – ani po uchwale katalońskiego Parlamentu z 9 listopada 2015 r., w której zobowiązano się zakończyć sukcesem proces tworzenia niepodległego państwa w ciągu 18 miesięcy. Nie skorzystał wreszcie z posiadanych przez siebie instrumentów, by uniemożliwić przeprowadzenie „referendum” 1 października, jak choćby artykułu 155 konstytucji, który daje możliwość czasowego ograniczenia autonomii zbuntowanej wspólnoty. Wiele zaś wskazuje na to, że ten krok i tak niebawem zostanie wykonany, ale już w znacznie mniej sprzyjających warunkach: po „zawieszanej” deklaracji niepodległości, po „referendum”, które zwolennikom secesji daje argument (zaskakująco rzadko podważany przez media) o „90% Katalończyków głosujących za niepodległością” (tu cytata z „Polityki”) i wreszcie po kompromitacji wizerunkowej w wyniku akcji policji. Nic więc dziwnego, że nie brakuje krytyków łagodnej linii Rajoya.

Paradoksalnie, główna siła opozycji – Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (Partido Socialista Obrero Español, PSOE) – do nich jednak nie należy. Lider ugrupowania, Pedro Sánchez, skrytykował co prawda decyzję o użyciu siły 1 października, ale przed „referendum” nie należał na zdecydowaną reakcję gabinetu Rajoya, a i po tych wydarzeniach pozostał dość sceptyczny względem celowości zastosowania artykułu 155. W ten sposób dwie główne partie hiszpańskiej sceny politycznej ostatniego czterdziestolecia, będące teoretycznie ideowymi spadkobiercami obozów walczących przeciwko sobie w latach 1936–1939, prezentują wyjątkowo zbieżne stanowisko.

Rolę „jastrzębi” wzięła za to na siebie liberalna partia Ciudadanos (Obywatele), na czele której stoi Katalończyk Albert Rivera, co równocześnie podważa narrację separatystów o rywalizacji między „Hiszpanami a Katalończykami”. Ten młody polityk jeszcze przed 1 października wzywał do zawieszenia autonomii regionu, a i teraz domaga się od Rajoya zdecydowanego działania. Konsekwentna postawa Ciudadanos została nagrodzona wzrostem w sondażach, dzięki czemu partia wysunęła się na trzecie miejsce, za PP i PSOE. Sam Rivera zaś został przez hiszpańską opinię publiczną uznany za polityka, który najlepiej realizuje jej interesy w obliczu kryzysu katalońskiego. W pięciopunktowej skali otrzymał notę 4, podczas gdy Rajoy i Sánchez 3, a najgorzej został oceniony Pablo Iglesias, lider Podemos (2).

O tym, jak bardzo nieaktualny jest podział z czasów wojny domowej świadczy też fakt, że zwolenników zdecydowanej reakcji na wydarzenia w Katalonii nie brakuje również wśród obu „tradycyjnych” partii. Do takich w szeregach socjalistów należą m.in. były premier Felipe González i były wicepremier Alfonso Guerra, a także szefowa andaluzyjskiego oddziału PSOE Susana Díaz. Za wprowadzeniem w życie artykułu 155 opowiada się również inny były szef rządu i poprzednik Rajoya na fotelu przewodniczącego Partii Ludowej, José María Aznar. Wreszcie, działalność Generalitat najgłośniej skrytykował w swym orędziu król Filip VI, czym pozyskał sympatię tych obywateli, którzy byli zawiedzeni biernością Rajoya. Postawa ta przysporzyła zmagającej się z kryzysem wizerunkowym monarchii nowych zwolenników, wśród których nie brakowało też ludzi ze środowisk lewicowych, od lat niechętnych tej formie rządów. „Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale udało się wam, fanatycznym secesjonistom, to osiągnąć: niech żyje król!” – brzmiał jeden z najpopularniejszych wpisów na hiszpańskim Twitterze.

O tym, jak bardzo nieaktualny jest podział z czasów wojny domowej świadczy też fakt, że zwolenników zdecydowanej reakcji na wydarzenia w Katalonii nie brakuje również wśród obu „tradycyjnych” partii.

Właściwie jedyną formacją ogólnohiszpańską, która konsekwentnie wpisuje się w stereotypowy podział z czasów wojny domowej, jest radykalnie lewicowa i prorosyjska partia Podemos. Blok Pablo Iglesiasa, skupiający

w swych szeregach Zjednoczoną Lewicę (Izquierda Unida), otwarcie odwołującą się do tradycji Hiszpańskiej Partii Komunistycznej, konsekwentnie domaga się przeprowadzenia referendum niepodległościowego w Katalonii, choć jednocześnie liczy, że mieszkańcy wspólnoty zagłosują przeciw secesji.

Podziały z czasów wojny domowej nie przetrwały również w polityce katalońskiej. W lokalnym Parlamencie koalicję na rzecz niepodległości tworzą: startujące w 2015 r. w ramach bloku wyborczego Razem na Tak centroprawicowa Konwergencja i Unia (Convèrgència i Unió, CiU) oraz Republikańska Lewica Katalonii (Esquerra Republicana de Catalunya, ERC), a także komunizująca Kandydatura Jedności Ludowej (Candidatura d’Unitat Popular, CUP). Obecnie widać jednak wyraźnie, że separatyzm zyskuje coraz bardziej lewicowe oblicze. Obóz CiU uległ dekompozycji, a jej następczyni – Partit Demòcrata Europeu Català – według sondaży może liczyć na głos ok. 10% mieszkańców Katalonii. Znaczny wzrost poparcia odnotowała za to ERC (powyżej 30%), co oznacza, że w razie nowych wyborów to ona nadawałaby kierunek

przyszłemu ruchowi separatystycznemu. Warto jednak dodać, iż zwolenników utworzenia niepodległego państwa katalońskiego nie brakuje również w kręgach tradycyjnych, w tym kościelnych. Pod koniec września list otwarty na rzecz przeprowadzenia referendum został podpisany przez trzystu katalońskich księży. Oddzielenie się od Hiszpanii popiera m.in. opat Montserrat, Josep Maria Soler, a w jednym z miasteczek w prowincji Tarragona liczenie głosów po „referendum” z 1 października odbyło się w... kościele.

Prawdziwą mozaikę postaw prezentuje za to kataloński obóz zwolenników jedności Hiszpanii. W lokalnym Parlamencie w jego skład wchodzi bowiem katalońskie odpowiedniki wszystkich partii ogólnohiszpańskich: PP, PSOE, Ciudadanos, a nawet Podemos, które choć popiera zorganizowanie referendum, nie zdecydowało się dołączyć do grona otwartych zwolenników secesji. Przy okazji warto zadać kłam innemu popularnemu twierdzeniu, jakoby obóz separatystów posiadał wyraźną przewagę w katalońskim Parlamencie. Stosunek mandatów wynosi 72:63, ale warto zauważyć, że na podzieloną opozycję łącznie głosowało więcej wyborców niż na ugrupowania separatystyczne.

Tak jak dotąd mówiło się z przekąsem, że za twórcę narodu katalońskiego należałoby uznać Rajoya, tak podobne „zasługi” dla odrodzenia się hiszpańskiej świadomości narodowej można przypisać Carlesowi Puigdemontowi. Kryzys kataloński ma bowiem istotny wpływ na mobilizację zwolenników jedności Hiszpanii w całym kraju i na osłabienie tradycyjnych podziałów będących dziedzictwem wojny domowej. Oczywiście trudno przewidzieć, jak on się zakończy i jakie będzie miał skutki dla hiszpańskiej sceny politycznej. Jedno wydaje się jednak pewne: podgrzewanie emocji, demonizowanie działania

hiszpańskich instytucji i straszenie opinii publicznej powtórzeniem się scenariusza z lat 1936-1939 należą do instrumentów tych sił, które za swój cel obrały destabilizowanie państw Starego Kontynentu.

dr Bartosz Kaczorowski